21. marca. Nr. 3. Rok 1860.

CZYTELNIA
dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1, 11, i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Frenela Nr. 114. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt., półrocznie 2 zł. 20 cnt., ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

Pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego.

USTĘP

z niewydanej jeszcze powieści

Pauliny z L. Wilkońskiej.

Zawitał rok 1813 — tyle przeważny dziejami swojemi na losy Europy — a z nim razem i trwożące przepowiednie strasznych wypadków, któremi panowanie swoje miał naznaczyć. Tam widziano w noc księżycową, na rozległem polu, dwa wojska nieprzyjacielskie — i zastępy któremi dowodził mąż w czarnym surducie i trójgraniastym kapeluszu, nagle w bezdeń jakąś przepadły. W drugiem miejscu powtórzyły się takież same widziadła w krwawej na niebie łunie. To znowu widziano trumnę płomienną na tle ciemnego błękitu, a ponad trumną znany kapralski kapelusz i koronę cesarską. Wreszcie gdzieś tam, w jakiemś mieście na zachodzie, gdy stróż nocny godzinę dwunastą ogłaszał, stanęła przed nim wielka, czarna postać i rozkazała mu, by trzynaście gwizdnął razy. — Ale któżby tam i spisał te wszystkie baśnie?! Ta tylko nastręcza się uwaga, że wielkie klęski niekiedy naprzód już niosą trwogę — a trwoga przepowiednie rodzi — jak gdyby nas opatrzność złowróżbem przeczuciem na nie przygotować chciała.

Krwi potoki — w perzynę obrócone wsie i miasta — pola niezliczonym zasłane trupem — upamiętniły rok ten złowróżbej liczby.

Księciu Józefowi Poniatowskiemu miała przepowiedzieć cyganka: że sroka będzie jego śmierci przyczyną—i bohater znalazł grób swój w nurtach Elstery. Rzeczka kiedyindziej spokojna i płytka, była właśnie wezbraną a most zniesiony. Książę cofał się z kolumnami polskiemi za armię francuską, której pochód zasłaniał — i widząc za sobą nadciągających nieprzyjaciół, dobył oręża i wyrzekłszy: *Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu samemu go oddam!* — rzucił się z koniem w rzekę, wycieńczony odebranemi w ciągu dnia ranami. Za nim poskoczył adjutant jego, *Blechamp*, podał mu jeszcze rękę — i obadwaj utonęli.

W miesiąc poźniej obchodzono po wszystkich miastach księstwa warszawskiego żałobne nabożeństwo za poległego wodza. W Warszawie nastąpiło to z wielką uroczystością dnia 19 listopada.

Może i będzie w swojem miejscu przytoczenie tutaj pięknych słów kilku Kajetana Koźmiana o księciu Józefie:

„Wśród ognia walki zazdrościł placu tym, którzy z nieprzyjacielem pierś z piersią, ręka z ręką spotykali się. Żołnierz polski i dowódzcy na błysk jego pałasza patrzyli, jak ich przodkowie na połysk szczerbca Chrobrego, lub Batorego szablicy. Pióro chwiejące się u jego czapki, było to białą Henryka IV kitą. Żaden wódz ani u obcych ani z narodowych nie dopiął takiego stopnia miłości u wojska, jaką nasze ku niemu pałało. Czarnieckiego kochano, lecz bano się surowości jego, Poniatowski samą czystą miłością, którą sobie za sprężynę w postępowaniu do prowadzenia serc i umysłów wybrał, wiódł do sławy swoje szeregi. Nie dla tego go kochano, że pobłażał, ale dla tego, że się nigdy nie gniewał i nie mścił, słuchano go przez bojaźń zasmucenia go.... Istotnie był to Germanik polski, którego cały obóz, cały Rzym opłakiwał..."

Cesarz Aleksander I. umiejący ocenić żałobę Polaków, i cześć oddając poległemu rycerzowi, zalecił przez rozkaz dzienny w. księciu Konstantemu, ażeby zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego — które po wydobyciu ich z Elstery pochowane w grobie rady miejskiej w Lipsku — Polakom oddane zostały. Jenerał Sokolnicki otrzymał zaszczytne polecenie przeprowadzenia ich na ziemię ojczystą. Oddział złożony z pięćdziesięciu oficerów pełnił przy nich straż honorową: oficerowie czynili służbę prostych żołnierzy, idąc przy karawanie. Na ich czele postępował jenerał Sokolnicki. Orszak ten poprzedzał oddział lekkiej jazdy: dwudziestu pięciu Krakusów. Ciało namaszczone złożono w cynowej trumnie, a tę w dwóch drewnianych. Karawan okrywał całun z kiru — na nim były herby księcia, a w nogach orły polskie.

Na granicy księstwa poznańskiego przyjmował zwłoki jenerał Umiński.

Dnia 31. lipca r. 1814, pod wieczór, wylegla w niemym żalu ludność Poznania, by powitać ten żałobny zastęp rycerski, wiodący przez kraje niemieckie zwłoki ukochanego wodza, dla złożenia ich w ziemi rodzinnej. Przy wstępie do miasta, poza przedmieściem ś. Marcina, oczekiwał nań X. Tymoteusz Górzeński — podówczas biskup poznański — w asystencyi prałatów, duchowieństwa miejscowego, zamiejscowego, zakonów, władz krajowych, cechów z chorągwiami, licznie zgromadzonych obywateli, i mnóstwa ludu. Pochód przez miasto do kościoła katedralnego trwał dwie godziny — w ciągu tegoż odzywały się żałobne dzwony ze wszystkich kościołów.

Świątynia pańska nieprzeliczonem gorzała światłem. Na filarach wisiały w trofeach napisy miejsc, w których wódz poległy sławą się okrył. Katafalk był nader pięknie i wspaniale po wojskowemu przybrany: w paiże, przyłbice, tarcze, paweże, halebardy, bułaty, harmaty, oraz broń i oręź tegoczesny *). Po ustawieniu trumny na katafalku, po odspiewaniu: *Subvenite sancti Dei* — przemówił jenerał Kraiński, oddając cześć zasługom poległego.

Nazajutrz odbyło się nader uroczyście pogrzebowe nabożeństwo. Rozpoczęły je już od godziny 6 zrana zgromadzenia zakonne; Frańciszkani, Bernardyni, Karmelici, Dominikanie, każde zosobna, co do godziny 10 potrwało. Poczem nastąpiło duchowieństwo świeckie, do którego przyłączyli się XX. Benedyktyni, Cystersi oraz z prałatami i biskupami *in partibus*, niemniej z opatami, z biskupem rządzącym na czele. Po odbytych wigiliach i mszy ś. spiewanej przez X. biskupa Górzeńskiego, nastąpił wielki kondukt, *Castrum doloris*. Przed rozpoczęciem tegoż przemówił z kazalnicy X. kanonik Kawiecki: przeszedł wszystkie dzieje wojenne księcia od r. 1792 aż do r. 1813, dodając: że wódz poległy dopełnił święcie obowiązku swojego, jako rycerz chrześciańsko - polski względem Boga, wiary i tyle przez siebie ukochanej ojczyzny. Mowa jego pełna namaszczenia wyższego wszystkich do łez poruszyła.

Muzyka wybornie dobrana wykonała *Requiem* Karłowskiego.

Po odbytym kondukcie zabrał głos prezes rady departamentowej, Tadeusz Radoński. A po nim jenerał Sokolnicki pożegnawczo — i nader rozrzewniająco przemówił. Głośne łkania zaległy świątynię.

Kościoł był przepełniony — a wszyscy znaki żałobne przywdziali: mężczyzni czarną krepę — kobiety w grubej były żałobie.

Trzeciego sierpnia o godzinie siódmej wieczorem — z powodu wielkiego upału — wyprowadzono zwłoki w dalszą drogę. Od Poznania żałobny orszak zwiększał się ciągle: przyłączali się doń zewsząd obywatele, urzędnicy i lud. W każdej parafii, przez którą przechodził żałobne odprawiano nabożeństwo.

*) Stawiał go Józef Mielcarzewicz budowniczy departamentowy.

W Łowiczu przyjmowali zwłoki, wysłani z Warszawy: pułkownik Chodkiewicz i radzca prefektury, Teofil Szymanowski. Nabożeństwo odbyło się z wielką uroczystością — i zwłoki pozostały tamże przez kilka tygodni, bo czekano na powrot wojsk polskich do kraju, by je z należnemi honorami wojskowemi do Warszawy przewieść.

Nastąpiło to dnia czternastego września. Już od godziny szóstej zrana, bez przerwy dawano ognia z dwunastu dział: jedne stały na placu Denassauskim, drugie przy Wolskich rogatkach. Wojsko rosyjskie stało przez wszystkie ulice, przez które prowadzono ciało, w dwóch szeregach ustawione. Wojsko polskie konwojowało karawan od rogatek Wolskich aż do kościoła ś. Krzyża. Za karawanem postępował feldmarszałek rosyjski, *Barclay de Tolly* z całym sztabem swoim i ze wszystkimi jenerałami polskimi i rosyjskimi. Przy zdejmowaniu ciała przed kościołem ś. Krzyża, piechota polska dała po trzykroć ognia. — W świątyni był wystawiony wspaniały katafalk, który otaczali weterani i inwalidzi polscy. Nazajutrz odbyło się nabożeństwo żałobne, *pontyfikalne*. Zwłoki przeniesiono do dolnej kaplicy — zkąd pożniej do Krakowa przewiezione i w grobie królów polskich, obok trumny Jana III. złożone zostały.

Jednocześnie przy przeprowadzeniu ciała księcia Józefa Poniatowskiego przez kraje niemieckie, przewiozł jenerał Sokolnicki i relikwie króla Stanisława Leszczyńskiego z *Nancy* do Poznania. Nadto otrzymał za dar złożoną kościołowi tamże chorągiew, która stosownie do testamentu ś. p. króla Stanisława, obok grobu jego przechowaną została. Chorągiew ta — podobno p[illegible] którejś zacnej Polki — nadesłana ś. p. królowi z G[illegible] ska do Lunewilu, stała się odtąd znakiem honorov[illegible] jego gwardyi przybocznej. Wyobrażonym jest na [illegible] orzeł, przedzierający się z poza mgły ciemnej ku s[illegible] cu. Pod orłem znajduje się napis łaciński:

Turbine discusso par summis ferre serenum *).

Siekierki 1860.

IMELDA.

W klasztornych murach, gdzie oblubienice
Żyją Chrystusa — nie wiedząc o świecie,
Jako te kwiaty ponad wód krynice —
Rosło i dziecię.

I często śliczną dziewczynkę widziano,
Jak się pobożnie, gorąco modliła.
Miłość Jezusa — to było jej wiano,
W nim tylko żyła.

I gdy zakonne przy dziecku dziewice,
Ciało najświętsze i krew przyjmowały,
Świętym płomieniem jaśniały jej lice —
Usteczka drżały.

*) Gazeta poznańska z r. 1814, 13. sierpnia, w sobotę. Nr. 65 — stronica 599. —

Nieraz pokornie i rzewnie błagała:
„Weźcie mnie z sobą na te święte gody“
Lecz wzbraniał kapłan i biedna płakała —
Wiek był za młody.

I znów zakonnic pochód uroczysty
Boga przyjmuje — a Imelda w końcu,
Niby kwiatuszek lub motyl przejrzysty
Grzeje się w słońcu.

Pali to słońce niebieskim promieniem,
I silnie działa — bo zniknęła trwoga,
A dziecię woła z ognistem wejrzeniem:
„Dajcie mi Boga“.

Znów od dziewczynki kapłan się odwraca,
Z hostyą w ręku Imeldę omija,
A smuga jasna włoski jej ozłaca —
Niby promieniem owija.

I stanął kapłan — serce w nim zadrzało,
Z hostyi promień na dziecię uderza;
Idzie więc do niej, daje święte ciało
Kielich nowego przymierza.

I ta dziecina z Chrystusem złączona
Pada bez życia szczęściem jaśniejąca,
Jakby lilia w ogródku spalona
Od skwaru słońca.

Lwów. Seweryna Badeniowa.

DRAMATYCZNOŚĆ — TRAGIEDYA.

Są pewne epoki w życiu narodów, w których literatura narodowa nachyla się do pewnej formy i warunkującej ją treści literackich utworów. To zjawisko nie jest przypadkowem, jest ono raczej wynikiem mnogich przyczyn, które częścią do przeszłości, częścią do teraźniejszości należą.

Cała przeszłość historyczna narodu, jego instytucye polityczne, stopień umysłowego rozwoju, właściwości jego charakteru, nareszcie stosunki i wypadki bieżące — nadają jego literaturze pewien prąd, którego rdzenny napór w swej treści i formie nosi wybitne znamię całego usposobienia narodu.

Cośmy powiedzieli o literaturze w ogóle, rozumie się mianowicie o poezyi.

Rzeczywistość pochwycona umysłem poetyckim jest w poecie — poezyą; poeta wypowiadając ją w pewnej formie, czyni poezyę przystępną dla innych jeszcze oprócz siebie, i tym sposobem powstaje utwór poetycki. Każdy zatem utwór poetycki musi mieć swoję podstawę w rzeczywistości; jaka więc ta rzeczywistoć jest sama w sobie, taka się i w poezyi odbije.

Co się powiedziało o pojedyńczych utworach poetyckich, rozumie się także i o rodzajach poezyi.

Rozróżniamy głównie trzy rodzaje poezyi: *epos*, *lirykę* i *dramat*.

Każdy z tych rodzajów poezyi ma swoję odrębną formę, i ta forma *głównie* stanowi różnicę. Co się tyczy treści, nie można bezwarunkowo powiedzieć, że ta lub owa treść odpowiada *jedynie* pewnej formie: nie jest bowiem niepodobieństwem absolutnem, ażeby jedna i ta sama osnowa nie posłużyła do opracowania bądź epickiego, bądź lirycznego lub dramatycznego. Inne jest pytanie: czy równie szczęśliwie ta sama osnowa wcieli się w każdą z tych trzech głównych form poezyi? Co się zaś tyczy punktu zapatrywania się, z jakiego fabula lub wypadek jakiś jest pojęty, niewątpliwie poeta epik, liryk lub dramatyk, na rozmaitem znajdują się stanowisku.

Wspomnianych wyżej trzech głównych rodzajów poezyi nie należy jednak pojmować w ten sposób, jakoby forma każdego z nich była tak ścisłą i szczelną, ażeby nie dozwalała innej formie przyjęcia, owszem: wzory nas pouczają, że częstokroć w epopei lub dramacie są ustępy czysto liryczne, a odwrotnie niekiedy utwór liryczny przybiera miejscowe formy epopei lub dramatu. Co więcej: bezwarunkowo czystych, co do formy wskróś jednolitych utworów żaden rodzaj poezyi nie dostarcza, czego ostateczną, częstokroć nieświadomą przyczyną, jest właśnie to, że poezya czerpie z rzeczywistości, jest jej idealnem lecz przeto niekłamanem odbiciem.

Z założenia niniejszej rozprawki wypada nam peryod epopei i liryzmu milczeniem pominąć, a rozwinąć *konieczne nastawienie narodu* w epoce dramatu.

Nie myślimy twierdzić, że panowanie jednego rodzaju poezyi wyklucza pojawianie się utworów dwóch innych rodzajów; owszem, porządek rzeczy tak w naturze, jako też w krainach ducha warunkuje pewny przechód, brzydzi się wszelkim nagłym odskokiem od porządku istniejącego do wyobrażeń i pojawów nowych. Każdy genialny nawet pomysł nowy sprawia reakcyę, i nieraz bardziej postępowi szkodzi, niż powolny ale pewny rozwój treści ducha narodowego. Ażeby jakieś nowe zapatrywanie się, jakiś nowy porządek rzeczy otrzymał sankcyę obywatelstwa, to znaczy, ażeby nie raził swą nowością, musi duch tej nowej idei przeniknąć masy, zlać się z tem, co było dotychczas ich żywotnością, zapłodnić, co w nieprzebranem bogactwie narodowej duszy odłogiem leżało. — Wtedy, ale tylko wtedy duch ten nowy przybierze ciało i wyskoczy, jak Palada z Jowiszowego czoła, zbrojny tarczą i dzidą, do odpornego również, jak do zaczepnego boju; wtedy naród się go nie zaprze, bo on wyszedł z jego treści, bo duch ten jest treścią narodu.

Otoż dopóki duch dramatu, którego piętnem jest czyn, nie zaślubi ducha narodowego, dopóty nie będziemy oglądać narodzin literatury dramatycznej.

Wcale nieznamienite płody na tem polu literatury narodowej, poświadczają nam albo swe obce pochodzenie, albo tknięte są paraliżem lirycznego mistycyzmu; który literaturę naszą popchnął na mgliste bezdroża, zkąd słabym głosem domaga się wybawienia.

Lecz bogdaj, czy owa upragniona chwila oswobodzenia już nie nadeszła. Kilka utworów zdrowszych i

*

jędrniejszych myślą, młodego jeszcze pióra, zdają się nam być rękojmią lepszej przyszłości na tem polu literatury naszej.

Lecz nie ztąd jedynie błyska nam promyk nadziei. Jeżeli bowiem sądzić wolno o jakimś narodzie z literatury jego, natenczas i odwrotny sąd nie będzie płonnym. Natchnienie poetyckie krystalizuje tylko to, czego rzeczywistość dostarcza, muszą zatem być *w narodzie* zarody dramatu, muszą istnieć charaktery, mogące natchnąć poetę; poeta musiał uczuć, że większość potęg umysłowych rzuca jałowe obszary kontemplacyi i do czynów się dźwiga. — Przed zmysłami jego duszy musiał się rozwinąć ów magiczny obraz tajemniczego dramatu życia. *(D. n.)*

OPOWIADANIA SOWY.

O złotym ptaszku.

Był jeden król sławny i możny, miał wielką ziemię i wielkich ludzi i wielkie dostatki — i dziwili się sąsiedzi i długo dójść nie mogli przyczyny jego szczęścia.

Oto król ten miał tajemniczego, złotego ptaszka, którego sam wychował i przy sercu nosił. Kiedy wróg ziemię nachodził — to on wypuści ptaszka, ptaszek zaśpiewa, a gdzie głos jego doleci, rolnik pług rzuca, flis wiosło, uczony księgi, pan bogate zamki, mieszkaniec miasta spokojny zakątek — i staje każdy w szeregi, walczy i zwycięża.

Kiedy wojna zburzyła miasta, spaliła wioski — król znowu wypuszcza złotego ptaszka. Ptaszek zaśpiewa i tysiące rąk dąży do pracy — i powstają wspaniałe świątynie, wielkie grody — i znowu skromne wieśniacze strzechy mieszczą kmiotków pracowitych.

Nie mogli bez zazdrości patrzeć na te cuda sąsiedzi — zastawili sidełka, schwycili ptaszka. Obcięli mu skrzydła, wyskubali złote piórka, podzielili się zdobyczą, a jeden z nich samego ptaszka uniósł w dalekie kraje i w żelaznej zamknął klateczce.

Wtedy wróg najechał krainę, a nieznalazłszy oporu, poburzył zamki i świątynie, a lud zabrał w niewolę.

Król tego narodu miał trzy dorosłe córki — dwie zwano mądre, a trzecią...... niemądrą. Córki moje! powiedział król do nich; widzicie niedolę naszą, idźcie, szukajcie złotego ptaszka — a która go znajdzie i odzyska, po mnie królować będzie.

Jedna była dumna starszeństwa zasługą, lubiła hałaśliwą chwałę i zwali ją ludzie *Wielką*.

Druga lubiła wystawę i zbytki, stroiła się w klejnoty i szkarłaty i zwali ją *Czerwoną*.

Trzecia lubiła cichy pokój i pracę, i zwali ją *Małą*.

Ja będę miała złotego ptaszka, wołała pierwsza wielkim głosem, i skacząc i śpiewając pobiegła na Zachód. Po drodze gromadziła świtę, która przyszłego szczęścia świadkiem być miała, a dziś już pochwalne nuciła jej hymny — ale na odgłos tych dźwięków zbudzili się stróże pilnujący skrzydełek złotego ptaszka, i wstrzymali pędy rzek, i zalali doliny i pola, i Wielka utonęła.

Ja chcę mieć złotego ptaszka, mówiła druga, ale miłość wygodnego życia nieskorą ją do drogi czyniła. Zaczęła się stroić w świecidła i złotogłowy — a tymczasem wróg cierniem zasadził drogi i przepaściste nasunął manowce. Wyszła, ale za każdym krokiem sama własne drzeć musiała szaty — lub pośród manowców wpadała w przepaść bezdenną. Musiała zaniechać celu podróży — a wróg jakby dla igraszki pokazał jej zdala złote piórka tajemniczego ptaszka.

Czyż *ja* odzyskam złotego ptaszka? — pytała niepewnie samej siebie trzecia — i serce zabiło silnie miłością ludu. I odezwały się wszystkie niezmarnowane uczucia, wszystkie dla jednego ożywiły się celu.

Ale ten cel tak wielki, tak święty, nie można porywczo brać się do jego dopięcia — trzeba pracować i czekać.

Przybrała sobie najprzód dwie towarzyszki, *Wytrwałość* i *Pracę*. Wytrwałości poleciła odzyskanie złotych piórek — kazała iść roztropnie, uprzątywać po jednym kolcu, po jednej cierniowej gałązce. — Pracę posłała po skrzydełka złote, i kazała jej wąziutką przez bagna i rzeki usypywać ścieżkę i iść po niej odważnie. Sama zaś poszła na Wschód po tajemniczego ptaszka, ale szła powoli i uważnie, co dwa kroki postąpi — to krok się cofnie. Przypatruje się wszystkiemu, wszystko miłością chce ogarnąć — z wszystkiego zrobić użytek.

I spotkała najprzód mrówek gromadę, która niosąc ciężkie zapasy na zimę, musiała z trudną pracą obchodzić w około ogromny kloc leżący na drodze — ulitowała się ich niedoli, i odrzuciła kloc na bok. Mrówki spojrzały na nią wdzięcznie a jedna przemówiła: „możesz liczyć na nas w potrzebie“.

I spotkała potem konia spętanego żelazem, jak ze schyloną głową szukał czegoś wśród niepozornej trawy — znalazł, przyłożył pęta i rozprzęgły się ogniwa łańcucha, a on pląsał swobodnie po łanach. Przysunęła się zaraz, urwała cudownego ziela i zachowała.

Idzie znów, i słyszy jęki rozpaczy; było to młode kruczę, nad którem jastrząb drapieżny rozpościerał szpony — klasnęła w dłoń, odstraszyła jastrzębia — a kruczę zaświegotało: „odwdzięczyć ci się potrafię!“

Raz ku wieczorowi usiadła znużona. Patrzy w górę, i widzi, jak na szarym obłoczku płynie anioł nocy i sieje perełki rosy, a gdzie posieje, w wonny balsam się zmienią, a woń tego balsamu usypia cudownie i kwiatki i drzewa, i ptaszki i ludzie. Nazbierała tych perełek rosy, i zachowała.

Idąc tak powoli doszła do miejsca, gdzie tajemniczy ptaszek na wysokiej wieży w żelaznej zamknięty był klatce. Tysiące dzwonków otaczało klatkę i ogród cały, a dzwoniąc hałaśliwie za najmniejszym szelestem zbliżających się osób — budziło i zwoływało tysiące stróżów w każdej porze dnia.

Myślała podróżna nasza, jakby dobrze było rozsiać po całym ogrodzie balsam uśpienia — a w tem rój mrówek znajomych się nasuwa, rozbiera między siebie ziarneczka i roznosi po całym ogrodzie — i straż zasypia.

Wtedy kruk wdzięczny przylata, i danem sobie zielem kruszy ściany żelaznej klatki, uwalnia złotego ptaszka, dla którego *Wytrwałość* i *Praca* już odzyskały skrzydełka i piórka — i powrócili wszyscy, uszczęśliwiać lud swój.

WCZORAJ.

Wczoraj tak sławne, tak urocze było!
Tak się szlachetnym laurem zieleniło.
Wiódł biały orzeł skrzydlatych husarzy,
O orlim wzroku i wąsatej twarzy,
Za cześć i całość ojczystych ołtarzy
Z bojów na boje — od ziemi do ziemi,
Od Euxynu do wód bursztynowych.
Od białej Łaby do progów Dnieprowych,
Grzmieli rozgłośnie piersiami turzemi
Świętą pochodu pieśń Boga rodzicy
Orle wnuczęta — rycerze rolnicy!
A pieśń tę nucąc ostrzem dzid husarskich
Z polskich gościnnych otworzystych progów
Jak miotła gniewów Bożych mietli zgraje wrogów!
A w ślad tych pieśni szabla w dłoniach dziarskich
Po łbach tureckich, szwedzkich i tatarskich,
Aż w niebie słychać rozgłośnie dzwięczała,
Po karkach wrażych w pogoni orała!
Spytajcie o tem błoni Obertyna,
Grunwaldu, Orszy, Wiednia i Kłużyna.

Dzielniż to byli ci wczorajsi ludzie,
O których dzisiaj słyszym jak o cudzie!
On król wolności z stotysięczną głową,
Z dłonią na szabli a z serdeczną mową —
On wszystkim równy — wyższy od nikogo,
Naród szlachecki — szabla mu do dłoni —
Zbroja do ciała — a ciało do koni
Zdaje się wrosło — bo zbroję zdejmował
Na krótko tylko — na rodziny łonie.
Konno do lubej i na bój czwałował —
Konno na sejmik — i z szablą pracował
Na potem ojców zroszonym zagonie!
Pług mu i rola najmilsza zabawa,
Tańcem mu była wojenna wyprawa,
Gotów dać głowę k' woli ojców wierze;
Kiedy się modlił — to modlił tak szczerze,
Aż łzy gołębie z orlich ócz się lały!
Gdy szablą rąbał — aż skry się sypały!
A kiedy wedle dawnego zwyczaju
Wici wzywały na obronę kraju —
Jak z gniazd sokoły lotem błyskawicy
Biegli z pól swoich rycerze — rolnicy.
A przed ich męstwem, jak śniegów nawały
Przed skwarem słońca, tajał wróg zuchwały
I spływał krwawym ucieczki potokiem,
Trupami w polskie wsiąkając zagony. —
A gdy bój ucichł — westchnieniem szerokiem
Szląc dzięki niebu że wróg poskromiony,
Te pyszne orły — srogie lwy przed wrogiem —
Zdiąwszy z ciał zbroję, z serc butę i męstwo,
Byli jak korne baranki przed Bogiem,
Na jego łaskę składając zwycięstwo!
Strasznym dla wrogów brat szlachcic był w boju!
Lecz widź którego z chrobrych towarzyszy,
Kiedy na siebie wdział kontusz spokoju
W błogiej ogniska domowego ciszy —
To każdy taki szlachetny, kochany,
Sercemby ogrzał i lodowe ściany!
Anibyś pewnie poznał w tym rolniku,
Który się krząta śród rolniczych wozów,
Wśród stad i pługów i żniwiarzy szyku,
Błogosławionym potem pracy zlany,
Tego lwa — orla bitew i obozów!
A widź go jeszcze, kiedy w obrad kole
Siędzie z powagą i myślą na czole.
Patrz! jak obstając za wolności sprawą
Pychę odrzuca wzgardą i niesławą!
Jak murem staje samolubnej dumie!
Patrz! jak za prawdę nadstawić się umie!
Choć szabli dobyć — choć nałożyć głową —
Choćby się przyszło przyznać prawdę wrogu
I choćby przyszło otwarcie i śmiało
Wypalić w oczy gorzkie prawdy słowo
Ojcu — królowi — choćby nawet Bogu,
Gdyby się Bogu przeczyć podobało! —
A widź go jeszcze w chwilach wesołości,
Gdy w cześć domowej lub świętej rocznicy
Zasiądzie w gronie kontuszowych gości
Do sutej misy i pełnej szklannicy —
Jakże serdecznie i szczerze zaprasza
Na to co Bóg dał — czem chata bogata.
Kłania się prosząc — i jeszcze przeprasza,
Że nie ma przyjąć czem godniejszem brata. —
Chociaż mu głowę zdobi szron sędziwy
Mową i ruchem to jak młodzian żywy;
A gdy krew żywą węgrzyn rozweseli,
Sercem i duszą z tobą się podzieli!
To choćby w ówczas Tatarskiego chana,
Lub cara Moskwy — lub też Sudermana
Los jakiś dziwny przyniósł w jego progi —
Toby zapomniał szlachetnie że wrogi,
I miejsca swego przy stole ustąpił
A ugoszczenia i serca nie skąpił! (D. c. n.)

O badaniach filologicznych
na polu języka starosłowiańskiego
przez
Antoniego Małeckiego.

(Ciąg dalszy).

Ileż język nasz dawniejszych właściwości to nautracał, nowych natomiast nawydobywał z siebie! W jego historyi tyle zaszło zdarzeń miejscowych, przemian odpowiednich indywidualności narodu, z jednej strony uproszczeń, z drugiej urozmaiceń; tyle nakoniec i dowolności, aczkolwiek częściej analogicznych i przyczynami spowodowanych, niż czysto przypadkowych! Za tem idzie, że chcieć sobie dać dzisiaj radę z tą kalejdoskopiczną rozmaitością, drgającą życiem odrębnem narodu, a nie znać normalnego kanonu pierwotnej polszczyzny, na pniu której dopiero ta rozmaitość powstała i za pomocą której jedynie zrozumiałą być może, to już prawdziwe niepodobieństwo!

Otoż więc, na czem głównie polega mylność stanowiska i całej metody dotychczasowej naszej gramatyki.

Zamiast odnosić różnorodne i wielce swobodne dzisiaj objawy praw naszych językowych do odpowiednich form i objawów języka w epokach najdawniejszych, gdzie był nierównie organiczniejszym, i postępując od przeszłości ku obecności, *przeszłością* języka wyjaśniać jego kształty obecne: — gramatycy nasi poczynali sobie właśnie odwrotnie. To jest: albo z dzisiejszego stanowiska języka tłómaczyli „przestarzałe jego formy“; albo też, co zwykle bywało, wcale się o czasy minione nie troszcząc, ograniczali się na samej tylko nowoczesnej polszczyznie.

Tak postępując, nie pozostawało im w ich gramatycznych kłopotach, jak tylko na los szczęścia walczyć z nieugiętym materyałem na wszystkich posterunkach, gdzie się tylko jęli do dzieła. Że jednak wypadek tej nierównej walki najczęściej był niepomyślny, tego dowodzi cała natura otrzymanych przez nich wypadków. Przypuszczając bowiem podług dowolnej zasady, bo obcej dziejom języka, gramatyczne prawidła, które właśnie też przeto były nieodpowiednie rzeczywistym jego prawom, znajdowali się potem w nieustającej konieczności, pod ogólnemi regułami przytaczać wyjątki, niby grzechy, anomalności polszczyzny. Częstokroć takich wyjątków więcej się znalazło, aniżeli słów posłusznych regule. — Owoż wymowne acz mimowolne wyznanie, że się w tem miejscu pomylić musiał gramatyk, i że daleki był od zgłębienia rzeczywistego prawa, o które mu chodziło!

Z powyższych uwag wynika, że warunkiem niezbędnym lepszego w przyszłości powodzenia gramatyki naszej jest gruntowne obeznanie się ze stanem języka pierwiastkowym. Najdawniejsze nasze pomniki należy badać i właśnie nad niemi przedewszystkiem się zastanawiać.

Ale pomniki piśmienne polszczyzny nie sięgają daleko.

Najstarszy ze znanych dotąd, t. j. tak zwany *Psałterz Małgorzaty*, powstał prawdopodobnie dopiero w wieku XIV, najwięcej jeżeli ku końcowi XIII. stulecia. Polszczyzna zatem pierwiastkowej naszej literatury jest i sama stosunkowo dość pożna. W miarę tego, są już i tam, lubo nie tak częste jak w dzisiejszym języku, ale dość liczne jednak trudności gramatyczne. Ztąd też można wprawdzie językiem Psałterza Małgorzaty w niezliczonych razach rozdzierzgnąć zawiłe kwestye dzisiejszej polszczyzny, wszystkich jednak wątpliwości ani nawet przy tej pomocy wyjaśnić niepodobna. Owszem, kto tylko bada zabytki naszej najdawniejszej literatury, znajduje się co chwila w konieczności oglądania się za jeszcze dawniejszym stanem języka, podług któregoby rozstrzygał i w samym już n. p. Psałterzu swobody językowe, jako poźniej nastałe.

Gdzież zatem szukać tej prastarej mowy dziadów naszych? Mowy Bolesławów i Mieszków, której prostą, jasną i surową w stylu swoim budowę — odgadujemy tylko? Jej brzmienia rozpłynęły z wiatrem, który na ich grobach powiewał, dzisiaj zaklęsłych bez znaku! Jej śladów piśmiennych pozazdrościły poźnym wnukom pożogi nieprzyjacielskie i własne lekceważenie przeszłości, i tysiączne przygody tylu stuleci! Tej mowy napróżnobyśmy już dzisiaj szukali po książnicach i archiwach i skarbnicach naszych narodowych pamiątek!

Jeżeli jednak ubolewamy przy pracach naszych, że nam na niej zbywa, i czujemy całą ważność tej straty: — to dla czegoż nie mielibyśmy korzystać z egzystencyi innej mowy, która dzisiaj także już w ustach swego narodu nie żyje, ale się utrwaliła w pomnikach piśmiennych dalekiej przeszłości, *mowy cerkiewnej starosłowiańskiej?* Albożto ona, zestawiona z zabytkami najdawniejszemi polszczyzny, nie okazuje się być jej rówiennicą, jej siostrą, i niewątpliwie jej rodzoną i bliźnią siostrą, z wybitnym typem wspólnych rysów familijnych na obliczu swojem?

To więc jest narzecze, które gramatykom naszym znać i korzystać z pomników jego należy, jeżeli się mają zakończyć wreszcie rozpoczęte od lat 80 i tak długo niewdzięczne mozoły nad gramatyką ojczystego języka. Na podstawie takich tylko prac porównawczo-historycznych powstać może i powszechna filologia słowiańska i ustalona gramatyczna teorya każdego z żyjących języków tego szczepu, a zatem i polskiego.

(D. c. n.)

Panię pogańskie.

Szkic historyczny

przez

Karola Cieszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Nadaremny był jednak wszelki opór. Tatarzy z natury tchórzliwi, i tylko w ucieczce, nagłem rozpraszaniu się i znowu skupianiu mistrze, a nadto niedawną strwożeni klęską, niespodziewanym oporem pomięszali się do reszty, i choć kilkakroć liczniejsi, ulegli i tą razą małej garstce Polaków. Poległ tu ostatek pogaństwa w liczbie 7000, odbito resztę plonu, jeden sułtan poległ, dwóch drugich w pobliskie uciekło lasy.

Zwycięztwo było zupełne. Wszystką zdobycz odbito, samych więźniów więcej niż 10.000 uwolniono, jeńców do 2000 pojmano, oprócz tego przeszło 10.000 bachmatów tatarskich — a *bitwa pod Bursztynem* rozsławiła szeroko imię Stefana Chmieleckiego.*)

Wśród lasu niedaleko Bursztyna, stała przy wązkiej drożynce chatka leśnego, otulona lipami, o słomia-

*) Szczegóły bitwy pod Bursztynem czerpałem z ciekawych z pola bitwy relacyi samego Chmieleckiego i wojew. rusk. Lubomirskiego w dziele: Ukrainne sprawy, Stanisława Przyłęckiego. Szczegóły o Stefanie Chmieleckim z Niesieckiego, Niemcewicza, Kazania na pogrzebie jego ks. Fabiana Birkowskiego Siarczyńskiego, mianowicie zaś z S. Przyłęckiego: Ukrainne sprawy i z niedrukowanego dotąd rękopisu: Żywot i dzieła Bogu i ojczyźnie miłe Tomasza Zamojskiego przez Stanisława Żurkowskiego, sługę domowego nieboszczykowskiego. Rękopis ten jest własnością hr. Wiktora Baworowskiego. P. A.

nym zapadłym dachu. Wewnątrz w małej izdebce, ubogiej jak życie jej mieszkańców, siedziało w około brudnego piecyska kilkoro skulonych dziatek: bo dzień był zimny i słotny i nie wabił na harce do lasu — a w kącie na słomie, szarą płachtą zasłanej, leżał blady mężczyzna w pełnej sile wieku. Obok niego na niskiej sosnowej kłodzie siedziała brzydka stara kobieta z małą na rękach dziecina, i z niespokojnością śledziła gorączkowy sen chorego.

— Biedny, biedny Ostapie! — mruczała stara Ołena, smutnie pokiwując głową — jakże srodze pokrzywdzili cię ci przeklęci pohańce. Ale nic im nie powiedział, niczego nie wydał — ogień nie przełamie hardej duszy kozaczej!

Była to istotnie Ołena i Ostap. Chatkę Kozaka spalili Tatarzy, z powierzonem więc dzieckiem na rękach stara Ołena uciekła w lasy, potem trzymając się krwawego śladu tatarskiego pochodu doszła aż do pola bitwy, gdzie na brzegu lasu spotkała leżące ciało pokaleczonego Ostapa. Zaniesiono go do chaty leśnego i od tej chwilli Ołena nie odstępowała chorego.

— Naprzód, naprzód! — wołał w gorączce Kozak — wsiądźcie na karki poganom i wymordujcie co do nogi.

— Biedny, biedny — mruczała do siebie Ołena, odwilżając od czasu do czasu spiekłe usta chorego i smutnie kiwając głową. — Czyż nie ma Boga na niebie, że nie roztrzaska głowy tym poganom!

— Ogień i nic tylko ogień — majaczył Ostap w gorączce — ogień w głowie, ogień w piersi — ogień w każdym kawałku mego ciała. O Bohu, piękny mój Bohu! zalej mię, bo się palę cały. —

Gdy się to działo w izdebce, na dworze dzika szalała burza. Wiatr gwałtowny huczał pomiędzy drzewami i zdawało się co chwila, że porwie wirem starą domine i osadzi gdzie na szczycie dębu, jak gniazdo bocianie. To też trzęsły się ze strachu cienkie ściany, dach drżał na słabej podstawie, a wiatr najeżdzca wciskał się przez komin, rozwiewał ogień, i gwizdząc, z urąganiem biegał po izdebce. A dzikiej hulance wiatru odpowiadał melancholiczny plusk deszczu i żałośne wycie psa, co zamknięty w komorze płakał za panem.

A jednak pomimo tej słoty, gdzie każdy śpieszył pod dach chroniący, jakaś postać ludzka stoi przed domkiem i nie rusza się, tylko osłupiałym wzrokiem patrzy w oświetlone okienko izby. Postać to mężczyzny: na głowie ma czapkę futrzaną, okrywa go czerwony kaftan złotem upstrzony szychem, a skrwawiona z bogatą rękojeścią szabla wisi mu przy boku. Światło z izdebki słabo przebija przez brudne szybki okienka i mdławo oświeca twarz jego — a twarz ta skurczona, od bolu pobladła, od zimna zsiniała, czy nie znana nam już? — — —

Był namiot brata tatarskiego chana, a na złotych węzgłowiach rozparty, marzył rozkosznie wódz tatarski o krwawych bojach i świetnych zwycięztwach. Namiot wodza otaczały murem hordy tatarskie, liczne jak leśne mrówisko, a jednak — wódz ich Islam Giraj, znękany i bezsilny, żebrał w tej chwili pomocy pode drzwiami ubogiego leśnego.

— Gdyby choć kropelki wody, bom spragniony jak puszcza wyschła pod skwarem słońca — myślał zrozpaczony Islam — gdyby choć pień bezpieczny, gdziebym przytulił strudzoną mą głowę.

Szum zimnego wiatru i strumień deszczu odpowiedziały jego narzekaniom.

Strudzony Islam usiadł na zwalonej kłodzie, leżącej przed domem, i smutno patrzył przed siebie. Przed nim tlało słabe światło izdebki i dochodziły go urywane głosy — na dachu chytrym cichym krokiem kot skradał się tajemniczo — a wycie psa brzmiało żałośnie w szumie wiatru i deszczu. Islam podparł skrwawioną głowę na rękach i zadumał się głęboko.

W duszy jego, pomimo nawyknienia za młodu do mordów, nie zupełnie zdziczałej, ciężka odbywała się walka. Chęć ratowania ciała przemogła nad hardą duszą lecz nie długo. Ocknął się Islam, otarł twarz skrwawioną, odgarnął włosy i silne postanowienie wybiło się dobitnie na śniadnej jego twarzy.

— Lepiej zginać, niż bez walki, jak słaba kobieta, poddać się wrogowi — rzekł sam do siebie. — Lepiej zginąć jak podłe zwierzę, niż widzieć nad swą głową śmiech szydzący tryumfującego wroga!

W tej chwili w ciemnościach lasu podwójne dało się słyszeć gwizdnienie, któremu odpowiedziało szczekanie psa i karcące wyrazy. Na głos ten porwał się Islam i znikł spiesznie w pobliskiej gęstwinie lecz — już było za późno! Postrzegł go nadchodzący młody leśny i śpiesznie rzucił się za nim.

Krótka była pogoń. Islam nie znając miejscowości nie daleko mógł uciekać; pies leśnego rzucił się za nim i pierwszy dopadłszy zbiega skoczył mu na piersi i powalił o ziemię.

— *Allah! allah! aman!* — zastrzel mię, bo nie chcę aby mię pies zajadł — mruczał napadnięty. — Młody leśny odpędziwszy psa, silnem ramieniem porwał broniącego się gwałtownie Islama i ciągnął ku domkowi.

Na znany głos ojca wybiegł starszy chłopczyna i przyświecał gorejącym smolakiem, a za nim z ciekawemi oczyma dzieci czeredka.

— Tatar! Tatar! — zakrzyczały potrwożone dzieci, ujrzawszy towarzysza ojcowskiego, który skoro wszedł do izdebki, ujrzał najpierwej starą Ołenę, z dziką namiętnością zrywającą się na jego widok. *(D. c. n.)*

ROZMAITOŚCI.

— **Zamierzyliśmy sobie głównie, ażeby pismo nasze sprawę zdawało z umysłowego życia, gdziekolwiekby się takowe zaradzało. Z doświadczenia wiemy to, iż nic nie jest tak drobne w sferze umysłowego i naukowego życia, coby nie mogło dać dobrych zadatków na teraz, a dobrych owoców na przyszłość. Pod tym tedy względem zwracamy uwagę, iż brak publicznych wykładów dla panien i kobiet pragnących się oświecać, zastępują w naszem mieście wykłady prywatnych. Tu i owdzie skupia się kółko pod okiem matek, a ludzie wytrawnego zdania wykładają**

im pożyteczne nauki, bez pretensyi właściwych prelekcyj, ale z prawdziwym pożytkiem słuchających.

W istocie są to zupełnie dwie różne rzeczy: umiejętne wykłady ze stanowiska uniwersyteckiego, z całym przyborem i arsenałem systematycznej dokładności— a zupełnie czemś innem jest udział, że tak powiem poufny, pożytecznych i niezbędnie potrzebnych w życiu wiadomości, nabytych długoletniem czytaniem, studyami przetrawionemi doświadczeniem i przekonaniem, na drodze życia zdobytych.

Nie ma prawie człowieka, który dla siebie żył umysłowo, aby nie mógł z zasobu swoich wiadomości zrobić udziału pragnącym nauki — co więcej: pouczanie tego rodzaju nauczycieli bywa przystępniejsze dla uczniów, bo nie okazuje tak widocznego przedziału pomiędzy życiem a umiejętnością, i daje pospolicie ostateczne prawdy syntetycznie, wyrobione więcej na przekonaniach moralnych niż na systematycznem rusztowaniu i mnogości faktów. O ile związku pomiędzy uczącym a uczniem zachodzi, o tyle tylko odnosi się pożytku z nauki — a poufne nauczanie dowodzi właśnie potrzeby tego związku moralnego, tego duchowego przymierza pomiędzy uczącym a uczniem, w którem upatrujemy rękojmię skuteczności nauki. —

Inaczej czyta się książka, kiedy czytaniu przewodniczy głowa domu lub matka rodziny — inaczej przyjmuje się naukę, kiedy przyjaciel domu nam ją z miłością podaje — w wyższy pożytek obraca się, kiedy ją koło rówienników z tych ust przyjmuje. Życzyćby tedy należało, aby te drobne zadatki duchowego życia poufnych wykładów domowych, znalazły u nas naśladowanie, a rówienne kółka słuchaczy powiększały się z czasem.

W istocie: jeżeli się ze stosunków czasowych wyrodziły potrzeby umysłowego życia, potrzebujące zaspokojenia, trudno jest uwierzyć w nie tym, którzy z wyższego stanowiska sprawami kierują, jeżeli nic nie odpowie w życiu umysłowym potrzebom przez czas wywołanym.

Jeżeli jest potrzeba nauki, niech uczy kto zdoła, a bierze naukę, kto może. Co zacne i prawdziwie pożyteczne, to zaradza się zawsze dla świata tylko w małem kole, pojmujących siebie, i drogi swoje nawzajem. Takie poufne wykłady pewnych umiejętności lub wiadomości mogą się wówczas tylko stać publicznemi, jeżeli się ich pożyteczność okaże w kole zamkniętem — skupionem w rodzinie lub w domu przyjaciół.

Nie robimy sobie wielkich illuzyi; wszakże jeżeli już we wszystkiem idziemy wzorem zagranicy — jeżeli na dobroczynne cele umiemy urządzać bale; akademie muzykalno deklamacyjne, teatra i koncerta: czyliżby nie można pójść krok dalej, i otworzyć także jakieś odczyty z literatury, historyi powszechnej lub nauk przyrodniczych w celu dobroczynnym, dla ubogich — w duchu. —

— Z drukarni zakładu ślepych we Lwowie wyszło przez nich samych wypukłym drukiem odtłoczone zaproszenie następującej treści:

Zaproszenie — na wieczór muzykalno-deklamacyjny — mający się odbyć w teatrze, o zwykłym czasie, w dniu palmowej niedzieli na korzyść Zakładu ślepych we Lwowie. Akademię tę wyprawią amatorowie, wsparci pomocą towarzystwa muzycznego. — O zamówieniu lóż i krzeseł uprasza się wcześniej, w handlu Franciszka Adamskiego.

Ułożeniem tej akademii zajmie się dyrektor towarzystwa muzycznego, p. Mikuli — deklamacye będą wzięte z poezyi Wincentego Pola, o ile nam wiadomo.

— Przypominamy czytelnikom naszym ogłoszoną przez wszystkie pisma polskie prenumeratę na dzieło Karola Szajnochy: J a g w i g a i J a g i e ł ł o. My z naszej strony z ochotą zajmiemy się zbieraniem prenumeraty i pośredniczeniem w tej mierze.

— Pan Michał Mrozowicki ogłosił konkurs za napisanie dziełka ludowego — wyjmujemy z tego najgłówniejsze warunki: ... I lud ma zasługi dla całego kraju położone. Otoż zebranie przykładów cnót prywatnych i publicznych, dopełnianych czy przez pojedyńczych czy przez całe gromady ludu naszego, i opowiedzenie takowych w sposób przystępny i na wyobraźnię ludu działający, jest zadaniem wspomnionego dziełka dla ludu. Ma ono zawierać fakta prawdziwe wyjęte z kronik, z herbarzów, pamiętników historycznych, jak i z obecnego życia. Nagroda za takie dziełko wynosi 300 zł. wal. austr. które złożone są do rąk p. Michała Mrozowickiego. Dziełko to może mieć 10 arkuszy druku. Mniejsze rękopisma także uwzględnione będą, licząc za arkusz druku po 30 zł. wal. austr. Termin konkursu do ostatniego sierpnia r. b. Nadesłać na ręce p. Brunona Bielawskiego, redaktora Dzwonka. Nadesłany manuskrypt osądzą pp. Bruno Bielawski, Jan Dobrzański, Michał Mrozowicki, Mieczysław Pawlikowski i Kornel Ujejski. O bliższych szczegółach tego konkursu donosi Dziennik Literacki i Przegląd powszechny.

— Obszerne dzieło Józefa Supińskiego, wydawane nakładem Kajetana Jabłońskiego: *Myśl ogólna fizyologii powszechnej* już jest na ukończeniu, i wyjdzie wkrótce na widok publiczny.

— N o w y p o t o p zapowiedziany je st z największą pewnością i najuroczyściej w świecie. Nie prorocy straszą nim plemię ludzkie ale astronomowie, geologowie, matematycy, słowem uczeni pp. Adhemar i le Hon. Obliczyli oni i objaśnili rachunek swój bardzo dokładnie, że co 10.500 lat musi być potop na ziemi, raz na południowej, drugi raz na północnej półkuli, przez kolejne przelewanie się wód z jednej na drugą. Następujący potop będzie za 6.300 lat, więc jest czas do budowania arki.

Polecamy następujące dzieła:

— **Usque ad finem.** Żywoty narodowe z ostatnich lat stu, ozdobione portretami, rękopismami i pomnikami, wydawane staraniem młodego pokolenia polskiego. Paryż, druk L. Martinet 1859. Obecnie wyszło już 6 zeszytów, zawierających żywoty: Artura Zawiszy, Michała Wołłowicza, Maurycego Gosławskiego, Szymona Konarskiego, Tadeusza Kościuszki, Antoniego Ostrowskiego i Klaudyny Potockiej.

Aż nadto znaną i udowodnioną jest rzeczą, ile korzyści moralnych odnosi młodzież z rozczytywania żywotów znakomitych mężów — dotąd jednak miała niestety młodzież nasza w rękach tylko Plutarcha, i tego im wyłącznie polecano i polecają. Mówimy n i e s t e t y, bo biografie Plutarchowe, aczkolwiek mogą wyrobić w młodej duszy pewien hart i zacne zamiłowanie cnoty, jednak te posągowe postacie Greków i Rzymian nie zdolne obudzić zapału i głębszych uczuć, choćby tylko dlatego, że je prawie wszędzie po szkołach tak nielitościwie odzierają z wszelkiego uroku. Nowoczesne zaś żywoty mędrców francuzkich, niemieckich, angielskich i t. d. mają dla nas tylko interes zewnętrzny, naukowy. Ale tego nie dosyć. Nam potrzeba życiorysów, z którychbyśmy się uczyli tego, co w bycie naszym tworzy podstawę istnienia, któreby rozbudzały uczucie i podnosiły je do potęgi najwyższej miłości i poświęcenia — jednem słowem życiorysów naszych Żółkiewskich, Zamojskich, Chodkiewiczów, Rejtanów, Zawiszów, Konarskich, Kościuszków, Mickiewiczów. Całem więc sercem podzielamy myśl młodego pokolenia polskiego w Paryżu: „Od „gruntownej znajomości żywota przeszłości zawisł żywot przyszłości, „ogniwem z nią żywota teraźniejszego związany. Przeszłość, teraźniej„szość i przyszłość, to trójca nierozdzielna i jedna, nieśmiertelnego życia „ludzkości — trzy żywoty, a jedno życie. Ztąd im gruntowniejsza jest „znajomość przeszłości w teraźniejszości, tem pewniejszą jest przyszłość."

Zabawy przyjemne i pożyteczne. Zbiór powieści, poezyi, komedyj i podróży dla młodego wieku — przez Józefę Smigielską. Warszawa 1857. 6 tomów.

Dziełko bardzo stosowne do czytania dla młodych panienek. Między współpracownikami czytamy imiona: J. Bartoszewicza, M. Ilnickiej S. Chomętowskiego, J. Smigielskiej, P. Wilkońskiej J. Korzeniowskiego, J. Janiszewskiej, Deotymy.

Korespondencya redakcyi.

Ks. S. w Krakowie. Cel i kierunek pisma naszego wyrażony jest w programie.

Panu L. M. w Pradze. Wydawania t o m i k a m i „Czytelni dla młodzieży" nie zaniechaliśmy. Zawierać ona będzie rozprawki literackie i z nauk przyrodniczych, biografie, opisy znakomitych pamiątek kraju naszego i t. d., słowem artykuły, które dla swej objętości nie znajdą pomieszczenia w dzienniku.

Panu J. P. w Rzeszowie. Z największą ochotą skłonimy się do życzenia pańskiego.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.